

Śmierć nadejdzie jutro.

Znów jechaliśmy razem. Ja i mój czerwony pies.

Ja kierując samochodem, on z tyłu. Za moimi plecami. W swoim ulubionym kraciastym kocu który zwędził z samochodu mojej siostry kiedy był bardzo młody. Kilka razy kiedy zapędził się za zwierzem zostawiałem go w lesie tam gdzie się rozstawaliśmy. Ali wracał i czekał pilnując koca. Wiedział że wrócę i ja w to miejsce i zabiorę go do domu.

Dojechaliśmy w okolicę samotnej brzozy rosnącej pośród pól.

Czas ruszać mój czworonożny druha

Ale nie mogłem wysiąść z kabiny. Oparłem głowę na kierownicy i zamknąłem oczy.

Był 1 październik 2012 rok.

Niektórzy ludzie myśleli że niedługo koniec świata. Niektórzy nawet chcieli na tym zarobić. A ja...? Dla mnie ten rok był końcem pewnej epoki, końcem pewnej części mojego życia. Jedyne co mogłem zarobić w tym roku to ból i emocje które hartują duszę. Ktoś mądry kiedyś powiedział „Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania. Ale takich co nie chcą się złamać, świat zabija. Zabija w równej mierze najlepszych, najdelikatniejszych i najdzielniejszych. Jeżeli nie jesteś żadnym z nich, możesz być pewien, że zabije Cię także, ale bez szczególnego pośpiechu”. Ja byłem złamany już wielokrotnie. Ale rany już się goiły, tworząc twarde jak skała blizny.

Myśli poszybowwały w przeszłość.

Tak nieodległa i jeszcze pachnąca nie skoszonym zbożem które lekko muskało moje dłonie kiedy weszliśmy z Alim szukając zestrzału.

Był wczesny ranek i słońce właśnie mościło sobie wygodne posłanie do przedobiedniej drzemki w niewielkich chmurach otulając się swoimi promieniami. Wysiadłem z samochodu z niewiarygodną przyjemnością przesuwając dłonią po kłosach pszenicy, lekko jeszcze pokrytych rosą.

Czekałem na mojego kolegę który w nocy strzelał do dzika kilkaset metrów stąd i prosił abym przyjechał sprawdzić efekty z posokowcem. Dzień nie był zbyt upalny mimo pełni lata. W oddali szumiał stary sosnowy las pieszczony delikatnym i ciepłym wiatrem. Mówił zbożom dojrzewającym w jego cieniu że niedługo zmienią się w chleb w ciepłe z jego drewna... Czulem to każdym zmysłem i odbierałem jego mowę każdą komórką skóry.

Wypuściłem psa z samochodu. Wyskoczył sprężyste jak by mu ubyło lat. Nie miał nawet jednego siwego włosa. Obiegł auto wokół, powęszył dolnym i górnym wiatrem, podszedł do mnie i popatrzył pytająco bursztynowymi oczami.

- Jeszcze chwilę Ali. Jeszcze chwilę... powiedziałem z prośbą w głosie głaskając go po karku.

Kolega nadjechał w końcu z godzinnym prawie opóźnieniem. Cóż, interesy...

Wyjaśniliśmy sobie w krótkich i zwięzłych słowach zasady.

Ty czekasz przy samochodzie ja szukam.

Był trochę obrażony bo zabroniłem mu iść z nami.

Nie chcę abyś dodatkowo deptał zboże – wyjaśniłem krótko.

Powoli rozwijałem stary, skórzany otok który kiedyś zrobił dla mnie Przyjaciół.

Wytarta i pokryta patyną czasu obroża z wytłoczonym napisem „Schwarcarbait” znowu trafiła na kark Alego. Szczęk repetowanego sztucera Amadeo Rossi kal 44 Mag był sygnałem do poszukiwań.

Dzika znaleźliśmy po trzystu metrach.

Zawolałem kolegę i kiedy przyszedł sięgnąłem po nóż aby wypatroszyć przelatka.

Niestety, Spyderco wysunęło się z kieszeni i przepadło gdzieś w zbożu.

Wypatrosz – powiedziałem cicho do kolegi siadając na kępie trawy. Nie lubiłem tracić przedmiotów które posiadałem od tak dawna. To była zła wróżba...

-Wiem że się spieszysz więc jedź, za chwilę przyjedzie mój brat to pomoże mi wyciągnąć dzika – zaproponował kolega. Zgodziłem się bez protestu zasmucony utratą noża.

Ruszyliśmy z Alim do samochodu.

Nie uszliśmy kilkuset metrów kiedy pies idący przede mną nagle się zatrzymał i obejrzał patrząc na mnie dziwnie.

Co? – zapytałem.

Ruszył dalej ale jego ruchy były jak w zwolnionym tempie , jak by płynął w lepkiej i spowalniającej pracę mięśni mazi. Zad zaczął mu się zawracać raz w jedną , raz w drugą stronę i w końcu osunął się w cień malej sosenki którą właśnie mijaliśmy.

Dopadłem do niego podnosząc mu pysk z którego ściekała ślina.

Doniosłem nieprzytomnego na rękach do auta i skropiłem wodą. Powoli przychodził do siebie.

Ot, udaru psisko dostało na starość i tyle – śmiałem się w duszy.

Ali już wesoło machał ogonem i rażno wskoczył na pakę przewracając ślepiami.

Poklepałem go po faflach co traktował jak najlepszą pieszczotę i wróciliśmy do domu.

Minęły trzy miesiące i znowu Go niosłem na rękach....

Kraciasty koc okrywał wychudzone i zmizerniałe niegdyś sprężyste i pełne życia ciało.

Był lekki , wcale mi nie ciążył. Jak całe jego psie życie. Zawsze był nagrodą – nie ciężarem. Tak i teraz.

Aby nie myśleć o terażniejszości przenieśliśmy się w przeszłość...

Tamtego dnia kiedy wróciliśmy do domu zadzwoniłem do mego zaprzyjaźnionego weterynarza.

Przyjechał natychmiast. Długo i starannie badał Alego na wszystkie możliwe sposoby.

Obejrzał spuchniętą prawą łapę, oczy i jemu tylko wiadome oznaki choroby.

Diagnoza brzmiała – białaczka.

Wiesz co masz zrobić? Zapytał retorycznie lekarz.

Tak – odparłem. Ma do Pana telefon.

Ali chorował i starzał się tak jak można sobie tylko wymarzyć. Nie skarżył się i chodził z kojca na taras gdzie bardzo lubił leżeć na rozgrzanych kafelkach. Tak mijal dzień za dniem. Aż do dziś.

Położyłem Alego pod samotną brzozą wśród pól.

Szpadel łatwo przecinał zielną darń , trzonek nie ślizgał się w dłoniach które wilgotne były od obcieranych ciągle leż...

Cholera – kłamię w duchu! Oczy mam po matce i nie mogę nad nimi zapanować.

Wyprostowałem się i spojrzałem na świeżo porośłą trawę kilka metrów obok.

Ot Leo, będziesz miał towarzystwo – myśli znowu powróciły napelniając serce kolejną czarą goryczy.

Kilka miesięcy wcześniej pochowałem tutaj swojego jamnika. Co jeszcze się wydarzy w tym roku...?

Usiadłem zmęczony na trawie i rozejrzałem się wokół.

Trawy na ugorach przybrały kolor spadziowego miodu, nawłocie wyjątkowo obfite w tym roku tworzyły miejscami gęste monokultury roślinne. Czarna ziemia odwrócona ostrzem lemiesza podobna była do kawioru położonego na kanapce ściernisk , gdzie uparty człowiek zaczął właśnie jesienną orkę. Co chwilę z brzozy pod którą odpoczywałem spadały złote niewielkie listki niczym wiadomości pisane przez drzewo do swojej matki ziemi informujące o rychłym nadejściu zimy.

Frrrrrr – rozległo się w powietrzu. To czarny dzięcioł przelatujący opodal postanowił odpocząć na samotnym drzewie. Pióra w kolorze roztopionej smoly i purpurowy berecik przypominał pracownika firmy pogrzebowej...

Przedsiębiorstwo pogrzebowe radość – w naszej trumnie wyglądasz jak żywy! – przypomniałem sobie ironiczną sentencję uśmiechając się przez łzy i kulakiem wycierając zasmarkany nos.

Pokiwał lebką w lewo i w prawo, podskoczył zabawnie na pniu , po czym ruszył w dalszą drogę.

Dźwignąłem się na nogi i pieczołowicie kończyłem swoje dzieło.

Grób był gotowy. Powoli i ostrożnie położyłem Go na dnie i stanąłem z boku.

Podniosłem leżący sztucer i zacząłem ładować magazynek. Szczęknął zamek i rozległ się pierwszy strzał , za chwilę drugi trzeci i czwarty. Po dziesiątym iglica uderzyła sucho w próżnię. Doładowałem dwa naboje i wystrzeliłem w powietrze. W sumie dwanaście razy. Tyle lat żył i polował mój przyjaciel.

Zasypałem mogiłę i zasiałem świeżą trawę . Na niebie wypatrzyłem dwa kruki zwabione pewnie hukiem wystrzału. Komunikowały się ze sobą w swoim charakterystycznym języku omijając mnie szerokim łukiem. Przyjąłem to za dobrą wróżbę i wróciłem do samochodu.

Jadąc do domu przypomniałem sobie stare chińskie przysłowie „Dzień jutrzejszy to dzień lepszy”.

Ale czy myśliwskie jutro może być lepsze bez Alego...?

Tak! Przecież Ali ciągle ze mną jest . Wciąż czuję jego duchową obecność , choć wszyscy mówią że psy nie mają duszy. Wiem że jest i będzie ze mną do końca moich dni.

Będzie żył w moich wspomnieniach i snach.

Kiedyś znów razem zapolujemy w krainie Św. Huberta.

Jarosław Pełka

Członek Klubu Posokowca ISHV.